



Mirosław Derecki

## O ZAMOYSKICH I ZAMOŚCIU – ZE SWADĄ

Z prawdziwą satysfakcją brałem do ręki kolejną książkę Adama Andrzeja Witusika „O Zamoyskich, Zamościu i Akademii Zamojskiej” wydaną ostatnio przez Wydawnictwo Lubelskie i będącą jakby kontynuacją „Młodości Tomasza Zamoyskiego”, która ukazała się przed rokiem. Spodziewałem się pasjonującej lektury i nie zawiodłem się.

„O Zamoyskich, Zamościu i Akademii Zamojskiej” jest książką odwołującą się przede wszystkim do szerokich kręgów czytelnicych. Składające się za nią szkice drukowane były - acz nie wszystkie - w „Kamieniu”, „Mówią wieki”, „Polsce” a najczęściej – „Kurierze Lubelskim”, na którego łamach Witusik gości od szeregu lat, jako główny autor rubryki „Z raptularza historyka”.

Przyznam, że mniej pasjonowałem się pierwszą połową książki, jako że autor powraca w niej - co jest zresztą zupełnie oczywiste i zrozumiałe - do początków Zamościa i rodu Zamoyskich, do spraw i problemów ukazanych już w „Młodości Tomasza Zamoyskiego”. Nawiasem mówiąc opowiada o nich w sposób bardziej potoczny i „sensacyjny”, zgodny z założeniem książki. Ale i tutaj można trafić na zupełnie nowe problemy, choćby w rozdziale „Mecenat Jana Zamoyskiego - interes czy potrzeba wewnętrzna?”. „Podkreślić trzeba - pisze w nim autor - że kultura, nauka i szkolnictwo były dziedzinami, którym Jan Zamoyski poświęcał mniej uwagi, niż zwykle się mniemać na podstawie wybitnego akcentowania przez historiografię, zwłaszcza lat ostatnich, zainteresowań kulturalno - oświatowych kanclerza, z zaniechaniem innych dziedzin jego pracy, przede wszystkim, jako męża stanu, polityka i wodza.” I w dalszym miejscu: „Nie kultura, nie nauka i nie szkolnictwo były najważniejszymi dziedzinami zainteresowań i aktywności Jana Zamoyskiego. Jednak lokata kapitału procentowała później bardzo nierównomiernie. Po tysiącach złotych strawionych na przykład na sejmach na kopiowanie adherentów pozostało tylko gorzkie wspomnienie w dziejach polskiego parlamentaryzmu. Po architekcie, budowniczym i fortyfikatorze Zamościa, Włochu Bernardzie Morando - dzieła, które po dziś należą do skarbcza naszej kultury.”

Ta i inne podobne myśli i stwierdzenia stanowią w znacznej mierze o wartości książki Witusika. Nie sprowadzonej na szczęście jedynie do zbioru atrakcyjnych opowieści

wykrojonych, ku ucieście czytelnika, z szerokiego materiału, jaki przewija się przez ręce historyka-naukowca.

Inna sprawa, że nie ze wszystkim mogę się z Witusikiem zgodzić, gdy stawia on oceny ludzkiego postępowania. W rozdziale „Listy kochanki”, opisując historię romansu późniejszej królowej Marysienki, a wówczas jeszcze młodziutkiej żony Jana „Sobiepana” Zamoyskiego, Marii Kazimiery d'Arquien de la Grange i cytując fragmenty jej listów miłosnych do Jana Sobieskiego, Witusik zżyma się, że choć „Marysienka napisała niejedno piękne zdanie, które i dziś może wzruszyć” to „jednocześnie są w tych listach słowa, które oburzają i rodzą niechęć do autorki.” Czyżby chodziło autorowi książki o ów złośliwy - to prawda - szyfr, jakim posługiwała się młoda mężatka w listach do ukochanego nazywając Jana „Sobiepana” Zamoyskiego Fajarą, Koniem, Makrelą lub Fontanną, a jego siostrę, znaną nam tak dobrze z „Trylogii” księżną Gryzeldę z Zamoyskich Wiśniowiecką, żonę groźnego Jaremy - Brytfanną lub Basetlą? A jak niby miała pisać piękna, pełna życia Francuzeczka, którą w wieku siedemnastu lat wydano za - jak sam Witusik stwierdza - „opoja, kobieciarza i syfilistyka, jakim był o piętnaście lat od niej starszy trzeci ordynat”. I który ją najsamprzód zaraził chorobą weneryczną, a w ogóle to zaniedbywał i lekceważył. Jakże ona, ulubiona dworka królowej Ludwiki Marii, musiała się kisić, po dworach w Nevers i w Warszawie, w Zamościu pod okiem przerażająco godnej i szlachetnej polskiej matrony, jaką była bez wątpienia księżna Gryzelda!

No, ale to na marginesie. Poza takimi jak powyższy, protestami czytelnik zanurza się przecież z każdą następną stronką w książkę Witusika po uszy. Tym bardziej, że im dalej od początków Zamościa i Zamoyskich, im bliżej czasów, jakie znamy z innych lektur, z osiemnastowiecznej i dziewiętnastowiecznej tradycji niepodległościowej opowieść staje się coraz bardziej pasjonująca, informuje o rzeczach zupełnie nam nieznanych lub rozwija wątki zdarzeń, o jakich ledwie, co słyszeliśmy. Tak na przykład rozdział „Szczęk kajdan” mówi o pobycie w zamojskiej twierdzy Waleriana Łukasińskiego, sięgając m. in. do fragmentów pamiętnika współwzięnia, Mikołaja Dobrzyckiego. W innym opowiada Witusik o Zamościu, jako „ostatniej placówce powstania listopadowego”.

Szkoda tylko, że autor dociąga swoje zamojskie opowieści jedynie do połowy wieku XIX, przeskakując następnie o sto lat, do krótkiej wzmianki o jubileuszu 350-lecia Ordynacji Zamojskiej 28 sierpnia 1939 r. w Zwierzyńcu. Ale może jeszcze w przyszłości napisze on ów pominięty „ciąg dalszy”, może skreśli sylwetki ludzi związanych z Ordynacją - niekoniecznie bezpośrednio - jak choćby lekarz ze Szczebrzeszyna, Zygmunt Klukowski, którego działalności tak wielu ludzi zawdzięcza życie i tak wiele życia zawdzięcza mu najnowsza historia.

Będąc naukowcem, posługując się naukowym warsztatem historycznym, potrafi Witusik, kiedy chce, pisać jak reportażysta penetrujący regiony historii. I to jest dodatkowy walor książki „O Zamoyskich, Zamościu i Akademii Zamojskiej”. Czekamy na następne.

Pierwodruk: „Kamena”, 1979, nr 10, s. 11-12.